

Trzy kamyki

Noc leżała nad lasem ciężka i czarna jak sumienie czarta. Gwiazdy niczym ziarno rozsypane z worka były jedynym światłem na niebie. Staś siedział wysoko na rozłożystym dębie i rozkoszował się ich widokiem. Dzisiaj miał w kieszeni suszoną dziczyznę i chrapkę na spadającą gwiazdę. Wczoraj złapał aż dwie!

Nie czekał długo, jasna smuga przecięła widnokrąg. Błysk, zamiast zgasnąć, zapłonął jak iskra rzucona na suchą słomę. Gwiazda leciała dalej, ogniem rozdzierając niebo na pół. Chłopakowi odebrało dech w piersiach. Po chwili eksplodowała na kilka części, rozlewając płomienie na całą kopułę. Zrobiło się jasno jak w dzień. Nie jak o świcie, gdy Słońce powoli wkrada się pod powieki. Nagle, jak obuchem w łeb! Cienie drzew wyskoczyły spod koron, Staś w oddali zobaczył domki swojej wsi Morasko. Światło z białego zmieniło się na pomarańczowe, rude, a potem zgasło. Noc wróciła, a świat zastygł w nienaturalnej ciszy. Chłopak słyszał jedynie bicie swojego serca.

Grzmot przerwał ten spokój. Huk tak straszny, jakby cały świat zawył z bólu krzykiem tysięcy istnień. Przerażony Staś złapał się za uszy, ale grzmot przenikał do kości. Zaraz po nim przyszła ściana wiatru. Gałąź pod nim pękła i zleciał na ziemię. Ogłuszony, oślepiiony, czuł jedynie ostry zapach w powietrzu, jakby przed chwilą uderzyło tysiąc piorunów. Leżał na ziemi, płacząc z bólu i strachu. Czuł jak podłoże drga gdy kawałki gwiazdy spadały w las. Bogowie nie byli zadowoleni.

Po jakimś czasie wszystko ucichło. Powoli wstał, na trzęsących się nogach. Chciał wrócić do domu, pod słomę, ale ciekawość gryzła bardziej niż strach. Widział, gdzie spadała gwiazda. Mógłby tam pójść i ją zobaczyć, może nawet dotknąć. Drugiej takiej szansy nie dostanie. No bo jak często gwiazdy spadają na ziemię?

Chłopak postanowił, ale jeszcze nie mógł zmusić się do pierwszego kroku. Po głowie kołatała mu się druga wizja. Obraz boskiego gniewu. No bo jak często bóg gniewa się tak bardzo, że rozdziera niebo na pół?

Szedł ciemną ścieżką, aż poczuł zapach spalenizny. Następnie przywitały go połamane drzewa, a w uszy zakuła nienaturalna cisza. Nawet nocą w lesie słyszać rozmowy zwierząt i szepty robaków, a tutaj nic. Zatrzymał się na skraju wielkiej dziury.

Runo było tutaj rozdarte. Nie jak po dziku, lecz jakby olbrzym wziął garść ziemi. i wyrzucił ją na drugą stronę. Wokół dziury biegł wał świeżego piachu i gliny, na którym teraz stał. W środku gleba była czarna i zbita, a gdy zsunął się po zboczu, poczuł, że ziemia oddycha jeszcze ciepłem. Intensywny ostry zapach szczypał go w nos.

Po chwili zobaczył głaz. Nie sterczał on w środku, ale był wbity w zbocze krateru. Podeszedł i niepewnie go dotknął. Gwiazda była zimna, zimniejsza niż ziemia, która ją trzymała. Zdziwiło go to. W głowie pojawiły się wątpliwości i strach. Dzisiaj jednak postanowił ignorować te myśli i znów uległ ciekawości. Wyjął toporek i delikatnie uderzył nim w głaz. Wierzchnia ciemna warstwa odpadła jak skorupa, ukazując błyszczący środek. Mocniej uderzył skałę, ta jakby się otworzyła, a z dziury wypadły trzy kamyki.

Nigdy nie widział takich kamyczków. Czarne jak smoła, o symetrycznych, płaskich ścianach. Podniósł je z ziemi, a one zdawały się dudnić. Gdy im się jednak przysłuchał, nie wydawały żadnego dźwięku. Nie potrafił tego wyjaśnić, mógłby przysiąc, słyszy w palcach małe bębny. Rytm, ten zbliżał się do rytmu jego serca. Melodia hipnotyzowała. Ospałe myśli, ciężkie jak kroki w błocie, nabierały tempa. Przyspieszała też muzyka. Staś czuł ją nie tylko w ciele, ale i w głowie.

Rozejrzał się dookoła, wrywając się z transu. Wydawało mu się, że ktoś go obserwuje, ale las był pusty. Stał sam w nocy, obok błyszczącego głazu. Głazu, który zrobił tę wielką dziurę i pozbawił tego miejsca życia. Szybko schował kamyki do kieszeni. Wydrapał się z krateru i puścił się biegiem przez las. Nie oglądał się za siebie. Biegł tak, aż nie upadł ze zmęczenia i nie zasnął pod drzewem.

Nie wiedział, że tej nocy krater odwiedził ktoś jeszcze.

Obudził go jak zawsze świt. Wracając do domu, mijał kolejne dziury w lesie. Naliczył ich siedem. W dwóch znalazł podobny metaliczny głaz, w żadnym nie było już kamyczków. W innych kraterach oprócz czarnej wypalanej ziemi znalazł drobne kawałki srebrnego głazu, niektóre ostre jak zęby. Pozbierał kilka do torby, żeby nie wrócić z pustymi rękoma do domu.

We wsi panował popłoch, wszyscy widzieli lub słyszeli, co zaszło w nocy. Baby płakały, dzieci chowały się pod skóry. Cała wioska licząca pięć rodzin, zebrała się na dziedzińcu w celu omówienia sprawy. Ustalili, że bóg Słońca pogniewał się za czyny panów chłopskich i zapalił boski ogień w czarcią noc. Następnie zdecydowali wspólnie, że poprawią swoje życie i w świętki nie będą jedli bobrów. Nazwali to wydarzenie „Dniem Rozdartego Nieba”. Staś przemilczał swoje spostrzeżenia, bo głupio mu było tak przemawiać przy wszystkich. Wieczorem ludzie rozeszli się po chatach, a życie wróciło do starej rutyny.

Ojciec gniewał się na syna, dopóki nie zobaczył, co ten ma w torbie. Sprzedali metaliczne odłamki wędrownemu handlarzowi i dostali za nie bawoła. Chłopak nikomu nie powiedział, co skrywa jego kieszonka na piersi. Jej zawartość była tylko jego.

Dni miały podobnie, ale Staś nie był już taki sam. Patrzył na świat inaczej.

Widział, jak bobry podgryzają pień z dwóch stron, przez co drzewo szybciej upada. Gdy więc następnym razem rąbał drewno, obszedł pień i ciął pod kontrę. Ojciec krzywił się trochę na tę metodę, ale gdy zobaczył, że robota idzie szybciej, robił podobnie.

Wkrótce siekiera Stasia pękła, więc ojciec pożyczył mu swój topór. Klinował się w drewnie i praca szła znacznie trudniej. Staś obejrzał oba ostrza i zauważył, że krzemień ojca był już mocno wyszczerbiony i tępy. Tego dnia postanowił zrobić nowy topór. Znalazł odpowiednio wygiętą gałąź, a w rozszczepiony koniec wsunął swój stary krzemień. Przewiązał całość świeżym łykiem, który po wyschnięciu miał trzymać jak stal. Na koniec wszystko obmył w rzeczce. Mokry jeszcze toporek zaczął szlifować o płaski kamień. Robił to jak zwykle, gdy nagle jego ręka sama z siebie zgarnęła garść piachu ze żwirem i rzuciła pod ostrze krzemienia. Staś zdziwił się, lecz ponownie podszlifował ostrze. Teraz szło szybciej. Jego topór był naprawdę ostry. Zadowolony, wypróbował narzędzie i pochwalił się swoim odkryciem w domu. Rodzina jeszcze nie podzieliła jego entuzjazmu.

Rozgłos przyniósł mu później inny przełomowy wynalazek. Dotąd ludzie we wsi orali radłem w jednym kierunku. Staś zauważył pewnego dnia, że tam, gdzie radło zjechało z pola, dwie bruzdy się przecięły. Ziemia w tym miejscu była bardziej rozluźniona. Przeorał więc całe pole jeszcze raz na krzyż. Ludność wytykała go palcami, jak miejscowego dziwaka. Przyszłe zbiory wyszły jednak bujniejsze niż u sąsiadów.

Staś po tamtej nocy w lesie wrócił odmieniony. Zamiast widzieć pole, drzewa, łąkę, dostrzegał przestrzenie i zależności. Widział połączenia tam, gdzie wcześniej ich nie zauważał.

Po tygodniu od pamiętnej nocy do wioski zawitał miejscowy kapłan. Przyszedł z wieściami. Kilka wiosek zebrało się, aby go wysłuchać. Wielebny był starszym mężczyzną z długą brodą i toporkiem z diorytu u pasa. Dioryt pochodził z dalekich krain, więc wszyscy wiedzieli, że był to poważny człowiek. Stanął on na wzniesieniu, wiatr targał jego lnianą szatą.

— Widzieliście sami! — rzekł. — Bogowie rozdarli niebo na pół. Chłopi pokiwali głowami, wszyscy widzieli.

— To nie przypadek! Bóg Słońca rozgniewał się na nas. Jego gniew ma wiele przyczyn, w tym bałwochwalstwo poddanych... — tutaj zrobił krótką przerwę i spojrzał w oczy kilku

chłopów i bab. — Ludzie wymyślają demony, demoniki i uprawiają wróżbiarstwo! — tłum chrząkał nerwowo, patrząc po sobie.

— Bogowie są jednak litościwi i dają nam szansę na przeprosiny. Aby to zrobić, zbudujemy wielkie kamienne budowle. Większe niż wszystko, coście widzieli.

Nazwiemy je megalitami. Zbudujemy je tak duże, aby bogowie mogli dojrzeć je z nieba!

Niedługo potem zaczęli pracę, przy której pomagali chłopci z pobliskich wiosek. Pierwszy raz, gdy Staś zobaczył budowlę, oniemiał. Jedni kopali, drudzy ciągnęli głazy na drewnianych saniach, trzeci klepali ziemię motykami. Robota była ciężka i wlekła się powoli. Człowiek niósł kamień kilka kroków, wracał i zanosił kolejny. Zmęczony chłopak usiadł pod drzewem i z braku laku obserwował mrówki. Też coś przenosiły, ale zamiast targać materiał, podawały go sobie z rąk do rąk. Stasia olśniło i stwierdził, że nie zaszkodzi spróbować. Podeszedł do swojej grupy i powiedział, żeby stanęli w szereg, ramię w ramię.

— Kamień nie idzie z wami, tylko przez was — powiedział.

W godzinę szereg zrobił tyle, co wcześniej w całe południe. Zadowoleni zebrali się wieczorem przy ogniu, żeby zjeść i wysłuchać kapłana.

— Bogowie do mnie przemawiają, mówią dużo i wiele z tego nie rozumiem. Pochwalili nasz pomysł megalitów, powiedzieli, że są zadowoleni i że nasz lud czeka na zmianę — kiwał głową i dalej mówił, jakby do siebie. — Powiedzieli także, że w przyszłości nastąpi nowa era, era metalu, dlatego zamówiłem go trochę z dalekich krain. Niedługo zobaczycie sami. — Machnął ręką i zamilkł. Później posłał po Stasia. Chłopak siedł ze ściśniętym gardłem. Kapłan siedział pod płóciennym daszkiem i dzielił suche mięso na kawałki.

— Siadaj — powiedział. — Jedz.

Staś usiadł, ale nie śmiał sięgnąć po mięso.

— Niezły ten twój pomysł z szeregiem — rzekł, patrząc w ogień. — Ludzie mniej się męczą, a robota idzie szybciej. Skąd ci to przyszło do głowy?

— Od mrówek — powiedział cicho chłopak.

Kapłan uśmiechnął się pod nosem i sięgnął po gliniany kubek. Wtedy coś zwróciło uwagę Stasia. Na lewym nadgarstku, tuż pod rękawem, cienki rzemyk trzymał trzy małe, symetryczne kamyczki. Takie same Staś miał w kieszonce.

Wielebny złapał wzrok Stasia, ale nic nie powiedział. Żegnając się z nim, rzucił tylko, że bogowie lubią takich, co patrzą i myślą.

Na kolejną budowlę Wielebny przyjechał z Kujaw. Nie siedł pieszo, nie jechał na saniach. Siedział na drewnianej skrzyni, którą para turów ciągnęła lekko, bo zamiast ślizgać się

po ziemi, toczyła się na okrągłych tarczach. Chłopi zamarli z kamieniami w rękach. Nigdy czegoś takiego nie widzieli.

— Niebo zesłało mi ten pomysł. — powiedział spokojnie. — Bogowie mówią, aby wam pokazać, jak to zrobić. Usprawni to wasze życie i przyspieszy budowę.

Chłopi nie rozumieli po co im to, szepty niepewności rozlały się w tłumie. Sanie służyły przecież dobrze. Wielebny zwołał cieśli z obozu i pokazał im wóz od spodu. Długa żerdź łączyła dwie okrągłe tarcze i obracała się w drewnianych gniazdach. Kapłan mówił krótko, raz, bez powtarzania. Dopiero wieczorem złapał Stasia samego.

— Zapamiętałeś, jak się robi koło?

— Tak, panie, mam dobrą pamięć — chłopak nie stresował się już tak jak ostatnio.

— Nie wątpię — skwitował sucho. — Zawolałem cię tutaj, bo mam dla ciebie wiadomość.

— Naprawdę?

— Tak, tak, synu. Wiadomość od samych bogów tylko dla ciebie.

Na te słowa Staś otworzył usta w zdumieniu. Kamyki na piersi parzyły go jak węgiel z ogniska. Kapłan wziął tedy chłopca do największej budowli, wskazał mu miejsce i spojrzał się na niego z powagą.

— Gdy przyjdzie czas, musisz je zostawić tutaj.

— Ale co zostawić, panie? — zapytał głupio, bo w głębi duszy znał już odpowiedź.

— Myślę, że wiesz Stasiu — powiedział cicho Wielebny i odszedł bez słowa.

Cieśle rozjechali się po wioskach. Kiedy następnym razem ich wezwano, co sprytniejsi przyjechali na swoich krzywych wozach. Mimo tego usprawnienia budowa megalitów trwała jeszcze długo. Staś pomagał przy niej od czasu do czasu. Z reguły pracował w domu, każda robota, której się tknął, wychodziła z jego rąk inna. Ludzie korzystali z jego pomysłów, ale unikali jego spojrzeń i obecności, gadali, że to czart szepcze mu do ucha. Często zostawał sam i trzymając się za pierś, patrzył się w niebo. Wsłuchiwał się w delikatne dudnienie i puszczał myśli wolno w noc.

Wcześniej wydawało mu się, że świat jest mały. Wieś, pole, las, rzeka, łąka, drugi las, a dalej góry. Teraz było inaczej. Kamyki nie przyleciały z Kujaw, nie z gór, znikąd, co miało nazwę. Gdy o tym myślał, czuł się mały.

Często wybierał się do kraterów i przynosił kawałki upadłej gwiazdy. Wędrowni handlarze chętnie kupowali od niego błyszczące kamienie. Opowiadali mu czasem o dalekich krainach i morzu. Słyszał o nim raz od wędrowca, który zarzekał się, że to woda bez końca, po

horyzont. Marzył, żeby je zobaczyć. Żeby poznać nieznane, pójść za góry, tam, skąd pochodził dioryt i jeszcze dalej. Budził się potem rano i trzeba było ciąć drzewa, wyprowadzać bydło, siać mak. Marzenie leżało w nim cicho, jak kamyki w kieszeni.

Z budowy wioska dostała kolejną nowinkę — miedź. Kilka igieł, cienkich jak kłos trawy. Służyły głównie do szycia.

Staś trzymał pierwszą igłę w palcach, kamyczki dudniły na piersi wyjątkowo mocno. Patrzył się na nią i myślał o tym, że ich lud, lud naczyń lejkowatych, wchodzi w nowe czasy.

Lata płynęły powoli, a wynalazki i usprawnienia rozpowszechniły się wśród ludności. Największa budowla wznosiła się na wysokość dwóch koni i ciągnęła się na dwieście kroków. Dla całego regionu było to monumentalne dzieło. Byli przekonani, że w zamian bogowie wybaczą im grzechy.

Wielebny od czasu, chodził coraz bardziej mizerny i słaby. Umarł latem, w połowie budowy trzeciej konstrukcji. Upadł na ziemię jak drzewo po ścięciu. Twarz miał spokojną, jakby tylko zasnął. Ludzie pochowali go w jednym z megalitów. Gdy wszyscy opuścili grobowiec, Staś został na chwilę sam w środku. Wyjął z kieszeni trzy kamyki. Nosił je długo i bardzo je lubił. Nie chciał ich zostawiać, ale czuł, że musi. Delikatnie dudniły mu pod palcami. Spokojniej niż zwykle, jakby na pożegnanie. Zgodnie ze słowami Wielebnego, położył je tuż przy miedzianej igle, skierowanej w niebo. Obok leżały trzy inne kamyki, te z kapłańskiego nadgarstka. Patrzył na wszystkie sześć przez chwilę, po czym opuścił grobowiec. Wejście przykryto głazem.

Staś odszedł smutny i pusty. Brakowało mu przyjaciela. Z każdym krokiem jego myśli stawały się coraz cięższe, jakby wchodził w błoto po kostki. Od tamtego dnia Staś już niczego nie wymyślił. Próbował, ale nie szło. Patrzył i widział tylko mrówki, bobry, drzewa. Nic więcej. Czasem jeszcze patrzył na gwiazdy, ale nigdy nie spełnił już swojego marzenia.

Robił to, co trzeba było robić. Orał, siał, żął. Zachorował dwie zimy później jakby się zatrueł. Niedługo potem umarł, cicho, w swojej chacie, z ręką na piersi, tam, gdzie zwykle miał kieszeń. Na twarzy wypisany miał spokój.

Po śmierci Stasia dzieci i wnuki przekazywały sobie historię o spadającej gwiazdzie i o śladach na ziemi. Co odważniejsi próbowali nawet je znaleźć, kilka kraterów, ukrytych gdzieś głęboko w lesie, jak skarb.

Trochę dalej, na zachód, w potężnym grobowcu dla olbrzymów, leżało sześć kamyków z miedzianą igłą pośrodku. Kamyki nie dudniły, igła nie drgała. Nic się tam nie działo, nic, co ludzkie oko mogłoby zobaczyć.

Czekały.

FUNDACJA
ZIEMIA I KOSMOS



CENTRUM
NAUKI
I FANTASTYKI

IMPAKT

nie przyleci.

